

M. STAWISZ.

GORACZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

14

I.

W tym czasie nawet spotkała je niespodzianka, o której w skrytości oddawna marzyła wraz z Kazią.

Gawlik raz powrócił z miasta rozpromieniony, przejęty dumą i ważnością własnej osoby i wręczając żonie większą sumę pieniędzy, zaproponował nową zmianę mieszkania.

Właśnie jeden z jego świeżych znajomych z kawiarni, przenosząc się na dalsze operacje finansowe do Wiednia, pozbyć się chciał w najkrótszym czasie mieszkania swojego, składającego się z sześciu elegancko umeblowanych pokojów, z wszelkimi do nich dołączonymi wygodami.

Ogromna radość zapanowała u Gawlików. Już w następnym tygodniu rodzina cała przeniosła się na ulicę Wolską. Mieszkanie było rzeczywiście wspaniałe, duże, widne pokoje, prawie wszystkie od frontu, posadzki frotowane, błyszczące jak szkło, meble niedawno nabyte, bogate, białe w oczy nienaruszoną jeszcze świeżością.

Kazia, oszołomiona zbytkiem, do którego nie nawykła, chodziła jak we śnie, po mieszkaniu, dotykając pluszowych obić i firanek koronkowych, przysłaniających okna, zatrzymując się co chwila przed olbrzymim lustrem w salonie, w którym odbijała się jej rośnięta, dobrze rozwinięta postać. A Gawlikowa, rozgorączkowana, uwijała się po kuchni, wydając raz po raz okrzyki zachwytu i zadowolenia, pairząc rozkochanym okiem na błyszczące, mosiężne okucia i mleczno-białe kafle kuchennego pieca.

Jedną tylko Stasia nie brała udziału w tym święcie rodzinnym. Zdawało się nawet, że to środowisko zbyt kłopotliwe, do którego tak nagle przeniesiona została — razili ją i przejmowało cichym smutkiem.

Miała ciągle przed oczami skromny, prostymi sprzętami przystrojony pokój Felki Kuźmianki, w którym tyle miłych i niezapomnianych chwil przeżyła na poważnej rozmowie z nią i jej bratem. Teraz, te ciągle zmiany, zachodzące w jej rodzinie, te rażące objawy dobrobytu, zwiększona jeszcze próżność i ambicja matki — oddalała ją z konieczności musiała od tamtych ludzi, do których tęsknota wzmagala się u niej z dniem każdym.

Cicha, spokojna pozornie, obca temu, co się działo wokoło niej, jeszcze z większą żarliwością rzuciła się do nauki, jak gdyby w niej znaleźć chciała ukojenie myśli i duszy.

Gawlikową ta bierność Stasi irytowała.

— Skaranie boskie z tą dziewczyną, — żaliła się. Niewiadomo, skąd się taka wzięła. Łazi jak senna, ani się to uśmiechnie, ani uraduje, tylko w tych książkach siedzi. Już ci teraz nie po nich. Na naukę cię nie dam. Ani się opatrzyć, jak cię za mąż wydać, tylko przedtem o Kazi jeszcze pomyśleć muszę. No! odezwij się jak człowiek — podniecała się milczeniem Stasi — patrzysz na mnie, jak ciele na malowane wrota! Nie cieszysz się, żeśmy teraz bogaci, że po kuchni uwijać się nie potrzebujesz, bo Bogu dzięki na służącą nas stała?

— Cieszę się tem, że to mamie i Kazi sprawia przyjemność. Mnie osobiście jest to obojętne. Przywykłam do dawnego życia — odpowiadała Stasia.

— No! macie ją! Przywykła do nędzy, do głodu, do nędznego, wilgotnego mieszkania. Co z ciebie będzie, powiedz. Człowiek bez ambicji nic nie wart! Zawsze będzie ostatnim, poniewieranym przez wszystkich. Myślałam, że choć

z tych książek rozumu ci przybędzie. Głupia jestem, żem ci pozwoliła na skończenie tego seminarium. Psu na buty się to nie zda. Hol! hol! wiem ja, co ci pachnie. Z prostytutkami, z nędzarzami zadawać byś się chciała. Ale wybij sobie to z głowy! Nie po to nas dziś los wywyższył, żebyśmy przez ciebie znowu się zniżali, wstydu się najedli. Niech każdy na swoim miejscu zostanie, skoro się z niego ruszyć nie umie.

Stasia te wybuchy matki znosiła cierpliwie. Wywalczyła z trudem i po wielu burzliwych rozprawach to, co na razie było dla niej najważniejsze: pozwolenie kształcenia się dalej. Do tego dążyła wszystkimi siłami i skoro to pragnienie jej zadowolnione zostało, jakaś cicha, ukryta nadzieja, pomimo wszystko wstępować w nią zaczęła. Był to pierwszy i bardzo ważny dla niej krok ku wyzwoleniu, ku samodzielnej przyszłości, która się w dali majaczyła przed nią nie skryształizowana jeszcze i niejasna, lecz ku której dążyły uparcie wszystkie jej pragnienia.

Obecne warunki, w których żyć zaczynała jej rodzina, Stasia uważała za przejściowe, przyjmowała je niechętnie, prawie wrogo, czując się



Gawlikowa zamyślała się głęboko, uśmiechając się porozumiewawczo do Kazi, przebiegającej po wszystkich pokojach w nowym, jedwabnym szlafroku i układającej wielkie kiście bzu w wysmukłych wazonach i żardinierach.

głęboko upokorzoną wobec koleżanek szkolnych, znających dobrze dawny tryb jej życia.

Na drugi dzień po objęciu nowego mieszkania Gawlikowa od samego rana zdradzała silne pośpiechanie. Najwidoczniej myśl jakaś nagle zrodziła się w jej głowie, bo co chwila przystawała gdziekolwiek, w kuchni, w salonie, pokoju jadalnym i zamyślała się głęboko, uśmiechając się porozumiewawczo do Kazi, przebiegającej po wszystkich pokojach w nowym, jedwabnym szlafroku i układającej wielkie kiście bzu w wysmukłych wazonach i żardinierach.

Stasi nie było, wczesnym rankiem jak zawsze, udała się na kursa, zadowolona, że choć na kilka godzin otrząsnąć się może z niemiłej atmosfery domowej, która coraz nieprzyjemniej na nią działała.

Na Kazi wcale znać nie było niedawno przeżytego zawodu i cierpienia.

Zdawało się, że zapomniła o tem zupełnie. Całe dni spędzała na naradach w pracowniach krajeckich, zamawiając coraz to nowe kostiumy i toalety, na bieganiu po sklepach, a w międzyczasie leżąc na otomane z romansem francuskim w ręce, snuła przedziwne marzenia o królewiczu z bajki, który lada chwila zjawi się,

by uwieść ją do zaczarowanych swoich pałaców.

Jedynym, poważniejszym jej zatrudnieniem obecnie, było gorliwe uczenie się przy pomocy dochodzącej Francuzki języka francuskiego, bo przecież było rzeczą wprost niemoralną i nieprzyzwoitą, aby panna, mogąca mieć wkrótce milion koron posagu, nie władała tym, tak modnym językiem.

I teraz więc, ukończywszy układanie bukietów, rzuciła się niedbale na otomane w jadalnym pokoju, gdzie spotkała się z matką i ziewnawszy szeroko, otworzyła przyniesioną ze sobą książkę.

Gawlikowa usiadła przy niej i idąc widocznie za myślą, dręczącą ją od rana, zapytała trochę niespokojnym głosem:

— Jak sądzisz Kaziu? Zgodzi się ojciec na nasz projekt?

— Ah! jakże mnie mama nudzi — zachnęła się Kasia niecierpliwie. Zgodzi się? Nie zgodzi? Nie ma nad czem rozmyślać. Musi się zgodzić, skoro tak postanowiliśmy, zresztą sam uzna, że w dzisiejszym naszym położeniu jest to konieczne.

— Tak, tak, konieczne — potwierdziła z ożywieniem Gawlikowa. — Bo przecież teraz, kiedy mamy wreszcie ludzkie mieszkanie, przyjmować zaczniemy.

— Oczywiście. Trudno, żeby wybrany gościom, którzy u nas bywać będą, podawała herbatę ordynarna jakaś Maryśka, z brudnymi rękami. Czy mama nie wie, że u Szulców już dawno lokaj jest? Podobno był po najlepszych domach i sam wygląda jak jakiś hrabia. Niech tylko mama pomyśli. Taki lokaj, to nas od razu stawia w rzędzie ludzi bogatych, z lepszej sfery. Jak tylko wyszukamy jakiego, ojciec zaprosi tych wszystkich panów, z którymi się teraz przy interesach zapoznał, wydamy wspaniałą kolację i na drugi dzień cały Kraków mówić o nas będzie.

— Tylko czy pomiędzy tymi panami znajdzie się godny mąż dla ciebie? — zafrasowała się Gawlikowa.

Coby nie? Czy mama myśli, że prawdziwi panowie także interesów nie robią? Teraz wszyscy zmadrzeli! Przekonali się, że pieniądze to grunt! Ah! Boże! Boże! — westchnęła z głębokiem zadowoleniem Kasia. — Żeby mama wiedziała, jak ja się cieszę, że skończyło się dla nas to okropne, dawne życie! Teraz, to choć człowiek wszędzie z podniesioną głową pokazać się może i byle kto mu z ubóstwem w oczy nie wyjedzie. Sroźka, jak ją wczoraj spotkałam w bramie, to mi powiedziała „wielmożna panno“.

— Nie gadaj! — ucieszyła się Gawlikowa, zacierając ręce z radości.

— A jakże! Teraz to nam wszyscy kłaniać się będą. Niech tylko ojciec dalej robi interesy. A mama

to powinna raz na zawsze zerwać wszelkie stosunki ze swoimi dawnymi przyjaciółkami. To nie towarzystwo dla mamy. Poufalić się tak nie można, to nie ma sensu. Już ja na to nie pozwolę, aby tu przychodziły. Wstydu nam tylko narobią przed służbą i w kamienicy.

— No pewnie, pewnie — przytakiwała Gawlikowa, wydymając pogardliwie usta. — Co one, to nie ja! — Ale widzisz Kaziu, wymówiła nieśmiało po malej przerwie, — ja się z tą Olearczykową tak żyłam! tyle lat przecież! i kuma moja. Cośmy to nie nagadały przez te czasy przy filizance kawyl! a babsko niezłe, przydatne, zawsze coś nowego ze sobą w worku przyniesie. Nikt lepiej od niej nie wie, co się w mieście dzieje.

Kazia zastanowiła się chwilę. Z brwi jej ściągniętych i poważnej twarzy zdawać się mogło, że w głowie jej waży się jakieś wielkie myśli i zamiary.

(Ciąg dalszy nastąpi).